

Vivat, obrońcy Madonny!

26 września 2009

Kogo pod koniec sezonu wakacyjnego bronili lewicowi publicyści? Madonny.

Jest to może i niezły pomysł. Madonna jest wprawdzie śrubką w mechanizmie przemysłu rozrywkowego, czyli największej potęgi do obracania pieniędzmi i urabiania mózgów w skali globu. Raczej więc nie potrzebuje, żeby ujmowały się za nią lokalne pióra opiniotwórcze. Ale za to, biorąc ją pod opiekę, na pewno się nie przegra. Dzisiejszy Don Kichot najpierw wybada, jakie atuty reprezentuje sobą dama, dopiero potem zaś ruszy z kopią na prześladowającego ją czarnoksiężnika czy smoka.

Mimo wszystko, jest trochę powodów do zdziwienia. Niby co najmniej od roku 1968 mózgi lewicy patrzyły z uwielbieniem na masową rozrywkę. Zwykle jednak wybierały z niej takie obszary, którym przy odrobinie dobrej woli (a może tylko naiwności) da się przypisać cechy buntownicze, antysystemowe lub przynajmniej nieoswojone. Jeżeli ktoś się uprze, to nawet we wspomnieniach organizatorów festiwalu Woodstock wyczyta, że od początku był on planowany jako przedsięwzięcie komercyjne. Zaproszenie jego uczestników do dzikiej swobody byłoby więc czymś w rodzaju PR-owej przynęty. Kto jednak się uparł, ten – zależnie od przekonań – mógł się ucieszyć lub przerazić, że na Woodstocku pierwsze pokolenie ery Wodnika demoluje fundamenty kapitalistycznej i patriarchalnej cywilizacji. Prorokini Debora amerykańskich konserwatystów, Ayn Rand, płakała, że jeśli młodzież będzie się tak bawić, to ośrodek w Houston nie podoła wysyłaniu nowych statków Apollo w kosmos.

Ducha sprzeciwu – jeżeli koniecznie się chce – można się pewnie doszukiwać w mniej spopularyzowanych przez didżejów i prezenterów list przebojów gatunkach rocka i rapu. Ale u Madonny? Jako programowy wielbiciel ezoterycznych obszarów kultury, gdzie już wielkiemu śpiewakowi operowemu, Luciano

Pavarottiemu, zarzuca się czasem popularyzatorsko-komercyjną wymianę na drobne, skłonny jestem uważać, że lepszą wokalistkę i aktorkę niż Madonna znajdzie się łatwo na każdym wiejskim weselu. Ale przecież i w ofercie tzw. dobrych – czyli przystosowanych do strategii wielkoprzemysłowych dystrybutorów – sklepów muzycznych umieszcza się ją na stoiskach z popem, a nie z muzyką rewolty.

Co więc felietoniści (a raczej głównie felietonistki) „Wysokich obcasów” oraz pokrewnych im mediów lewicy radykalnej w niej widzą? W musicalu „Evita”, gra ona ślubną żonę osławionego dyktatora Argentyny, który prześladował komunistów, związkowców i homoseksualistów. Żeby chociaż była tylko doraźną partnerką Juana Domingo Perona, która zdradzałaby go z kierowcą albo – jeszcze lepiej – sekretarką. Ale nic podobnego: gdy Peron siedzi w więzieniu, Madonna ofiarnie – jak uosobienie patriarchalnych stosunków rodzinnych – pracuje na jego reklamowy wizerunek. Jest mu też wdzięczna za podniesienie jej z knajpianej podłogi, gdzie skromne dochody amatorskiej tancerki musiała uzupełniać prostytutką (czego się wstydzi!). Odchodząc na zawsze, żegna się sentymentalnie z Argentyną i pada w umundurowane ramiona caudillo-macho.

Oprócz Madonny, w „Evicie” obsadzono wprawdzie Antonio Banderasa. Jako Che Guevara, wieszczy on, że ludziom wykluczonym nie wolno zadowolić się indywidualnym awansem. Powinni utworzyć – jak doradziłby, z kolei, Majakowski – „rękę milionopalcą w jedną miażdżącą pięść zaciśniętą” i obalić nią systemowy reżim. Słyszac te deklamacje, doradcy prezydenckiej administracji Clintona, których wychował Woodstock, mieli podobno łzy w oczach. Madonnę jednak Antonio Banderas w roli Che Guevary wzrusza średnio. – Co będziesz miał z tego – pyta – że „w dżungli boliwijskiej zabić się dasz”? Zaraz potem zgodnie tańczą tango.

Ideowi wrogowie nie przypadkiem tak gładko połączyli się w parę. Madonna tak samo odnosi się do legendy sentymentalnej,

jak Banderas – do legendy rewolucyjnej. Odgrywane przez nich symbole historii XX wieku zostają sprowadzone do wymiaru filmowego hitu, który gładko się ogląda, czasem powierzchownie się przy tym wzruszając. I koniec. Znacznej większości fanów „Evity” chyba nawet nie zaciekało, kim byli, do czego dążyli, co osiągnęli i jak rozstali się z życiem Eva Peron Duarte i Ernesto Guevara.

„Evity” – wtrąci może ekspert od popkultury – nie da się uznać za utwór reprezentatywny dla dorobku Madonny. Jednak i w tym nurcie swojej twórczości, którym planowo prowokuje obyczajową konserwę, idzie ona w ślad za przemianami obyczajowymi w trzonie współczesnej cywilizacji. Niczego nie podważa ani nie promuje. W całości jest kopią.

Przypomina się tu rozszyfrowanie pseudonimu „Madonna”, którym popisał się nieodżałowany weteran krytyki filmowej, Zygmunt Kałużyński. Oczywiście – wbrew temu, co się pewnie roiło publicystom „Naszego Dziennika” i prawego skrzydła „Rzeczpospolitej” – nie idzie w nim o bluźnierczą parodię jednego z imion sakralnych. „Madonna” – według błyskotliwej demaskacji Kałużyńskiego – przezwano akurat dziewczynę, której nikt przy zdrowych zmysłach nie porównałby do świętej panny z ołtarza. Innymi słowy, Madonna jest gwiazdą dla tych, którzy ściśle oddzielają seks od sacrum i jego pochodnych (na przykład wzruszenia czy piękna). Ich zachowania erotyczne są automatyczne – podobnie jak poranne wzmocnienie się napojem energetycznym, wypicie kawy lub coli do lunchu i wieczorne pozwolenie sobie na puszkę piwa.

Gwiazdy popu tak starego, że prawie już klasycznego (choćby Greta Garbo) w istotnym sensie były podobne do symboli kultury tradycyjnej. Mianowicie, swoją ponadprzeciętną urodą sugerowały, że ponad standardową codziennością istnieje coś jeszcze (niekoniecznie świętość, bo mogły to być również wartości cenne dla pozareligijnych artystów czy rewolucjonistów). Natomiast Madonna, przeciętna, standardowa i codzienna aż do bólu, jedynie reprodukuje to, co każdy i tak

zna z doświadczenia, sączącego mu się bez przerwy w oczy, uszy i nerwy.

Fani Madonny dostroili się do swojej gwiazdy. Na jej koncertach nie szukają przygody ani odlotu. – Kupiliśmy bilety, przyjechaliśmy – słyszało się ich w relacjach z warszawskiego występu Madonny – bo to przecież ważne wydarzenie.

Magdalena Środa (a może Kinga Dunin) cieszy się tymczasem, że chociaż konserwa się złości, to „Madonna jak śpiewała, tak śpiewa”. Pełna zgoda. Latem słońce jak świeciło, tak świeci. Zacznie się jesień, ogródki kawiarniane jak usuwali, tak usuną. W firmach jak przebąkiwali o zwolnieniach, tak będą przebąkiwać.

A już szczególnie przemysł rozrywkowy jak był i jest, tak będzie. Co można powiedzieć o lewicy (czy może tylko o grupie tak nazwanej przez reżyserów sceny medialnej), która utożsamia się z nim już w całej rozciągłości – bo, jak widać, nie tylko z punk rockiem, ale i z Madonną? Chyba tyle, że niespodziewanie (?) okazuje się najbardziej konformistyczną opcją współczesnej kultury i polityki.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)